Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 159 (Rok X, Nr 16) 15 sierpnia 1950 Cena (Price) 1/6

ODEZWA RADY POLITYCZNEJ

Polacy!

Dnia 15 sierpnia rb. mija trzydzieści lat od pamiętnej chwili, gdy zjednoczony w najwyższym wysiłku naród polski odparł od bram Warszawy najazd bolszewicki, uratował byt niepodległy swojego państwa i osłonił Europę przed nawałą komunistyczną.

Polska walczyła wówczas samotna. Mimo, że bolszewizm zamierzał po trupie Polski wkroczyć do Niemiec, wesprzeć tam siły komunistyczne, wraz z nimi dokonać rewolucji światowej i ujarzmić Europę, Zachód z niezrozumieniem i obojętnością przyglądał się toczącej się na naszych ziemiach śmiertelnej walce. Propaganda komunistyczna zdołała w wielu krajach przekonać zdezorientowaną opinię, że Polacy walczą o cele zaborcze i że oni to właśnie burzą pokój świata.

Wojsku polskiemu brakło broni, amunicji, mundurów i butów. Walczyło ono niejednokrotnie boso o chłodzie i głodzie nadrabiając szablą i bagnetem braki w swoich ładownicach. A na Zachodzie doradzano zaprzestanie walki i kapitulację oraz organizowano protesty i strajki zakazujące dowozu do Polski sprzętu wojennego. Położenie wydawać się mogło rozpaczliwe. Polska samotna na swoim okopie, jej armie wykrwawione, śmiertelnie znużone, pozbawione zorganizowanych tyłów w długim, ciężkim odwrocie, najazd szybko zbliżający się ku Wiśle i zagrażający Warszawie.

Wtedy nastąpił głęboki, zasadniczy zwrot. Naród wydał z siebie wszystkie siły, wszystkie zasoby ducha, całą swą energię. Zjednoczył się całkowicie i niepodzielnie w jednym dążeniu, w jednej myśli, w jednym akcie woli zbiorowej, obróconej ku ratowaniu Ojczyzny.

Powstała Rada Obrony Państwa złożona z najwybitniejszych przywódców politycznych narodu, powstał Rząd Jedności Narodowej złożony z głównych stronnictw sejmowych: narodowców, ludowców i socjalistów, powstały Rady i Komitety Obywatelskie w województwach i powiatach służące celom obrony, zaciągu i pomocy walczącym. Powstała armia ochotnicza, która wlała w zmęczone szeregi wojska świeżą siłę zapału i wiary. Rząd, społeczeństwo i wojsko zlało się w nierozerwalną jedność przepojoną nieugiętą wolą zwycięstwa.

Bitwa pod Warszawą, jedna z najważniejszych bitew w dziejach świata, została wygrana, armia najeźdźców pobita i odrzucona, rozpoczęła się nowa, zwycięska faza wojny zakończonej pokojem w Rydze.

Naród polski nie tylko obronił swoją niepodległość, ale osłonił Europę i zapewnił jej na dziesiątki lat pokój i bezpieczeństwo.

Okazało się raz jeszcze, że silne i niepodległe państwo polskie jest niezbędnym warunkiem zachowania równowagi i pokoju w Europie, oraz że jest ono fundamentem wolności ludów zamieszkujących środkową i wschodnią część naszego kontynentu.

Zachód jednak nie zrozumiał wymowy tego faktu. W dwadzieścia pięć lat po sławnej bitwie warszawskiej, ulegając złudzeniom możliwości pokojowego współżycia z bolszewicką Rosją, wydał sprzymierzoną Polskę na łup tym, przed którymi obroniła wtedy Europę. Ta małoduszność i krótkowzroczność sprawiły, że najazd zagraża mu dziś nie znad Dniepru, lecz znad Łaby i że siły obrońców wolności zostały pomniejszone. Sto milionów ludności Europy środkowowschodniej ogarnął, dzięki Teheranowi i Jałcie, zabór sowiecki.

Szybko i nieubłaganie zbliża się chwila obrachunku, chwila zasadniczej rozprawy pomiędzy światem wolnym a sowieckim „domem niewoli". Przed narodem polskim otwiera się droga wielkich możliwości, najeżona jednak wielkimi niebezpieczeństwami. Wstępować na nią musimy z całym poczuciem odpowiedzialności, świadomi, że walcząc o odbudowanie niepodległego państwa, walcząc o byt narodu, walczymy z nieprzyjacielem potężnym.

Szybki rytm wydarzeń w świecie nie pozwala na dalsze trwanie w marazmie, zastoju i bezczynności, nie pozwala na jałowe spory i żonglowanie formalnymi, pustymi tytułami prawnymi.

W obliczu zbliżającego się największego w dziejach zmagania, chcąc sprostać zadaniu musimy zjednoczyć się w największym wysiłku i powołać do życia jednolite, reprezentujące główne prądy opinii, zdolne do działania kierownictwo polityki polskiej.

ZA RADĘ POLITYCZNĄ

Tomasz Arciszewski
Prezes

Kazimierz Bagiński
Wiceprezes

Zygmunt Berezowski
Wiceprezes

Tymon Terlecki
Wiceprezes

Antoni Dargas
Sekretarz

Londyn, w sierpniu 1950 r.

PREZES BIELECKI W PARYŻU

W ostatnich dniach lipca prezes T. Bielecki przybył do Paryża celem przeprowadzenia konferencji z przedstawicielami amerykańskiego Komitetu Wolnej Europy. Między innymi odbył on rozmowę z p. M. Barnesem. Jednocześnie prezes Bielecki przeprowadził szereg rozmów z francuskimi

kołami politycznymi, parlamentarnymi i rządowymi.

Rozmowy te nacechowane były ze strony amerykańskiej i francuskiej ożywionym zainteresowaniem sprawami polskimi, zarówno w odniesieniu do położenia kraju, jak i problemów politycznych.

WOJNA NA JEDNYM FRONCIE

Jeden z komentatorów radiowych amerykańskich tak określił położenie na Korei: Akcja opóźniająca szczupłych sił amerykańskich spełniła swój cel, utrzymała dostateczny przyczółek do przybycia wojsk z Ameryki; teraz utrzymanie się na półwyspie jest pewne, chyba że wejdą do akcji wojska chińskie lub sowieckie, wówczas musimy Koreę opuścić.

Ten komentarz ilustruje tok rozumowania Amerykan. Jeżeli Chiny lub wprost Sowiety wejdą do wojny na Dalekim Wschodzie, Stany Zjednoczone nie dadzą się do takiej wojny wciągnąć, zrezygnują ze stałego lądu azjatyckiego, zachowają swoje siły na odpowiedniejszy front. Wiedzą o tym Sowiety i dlatego jeśli każą Chinom uderzyć, będzie to znaczyło, że zdecydowały się na wojnę powszechną.

W tym świetle nie wyglądają przekonywająco brytyjskie argumenty przeciw polityce amerykańskiej obrony Formozy, jako wciągającej Chiny do wojny. Brytyjczycy chcieliby widzieć uniezależnienie się Chin od Sowietów. Jeżeli takie uniezależnienie może mieć jakiekolwiek szanse, to tylko, gdy Chiny zobaczą wielką siłę po stronie antysowieckiej. Drażnienie lub niedrażnienie słynnej dumy chińskiej nie ma tu najmniejszego znaczenia. Stany Zjednoczone nie mogą równocześnie prowadzić wojny lądowej na Dalekim Wschodzie i w Europie. Na Dalekim Wschodzie mogą bronić w razie wojny światowej tylko tego, co da się obronić flotą.

Sześć tygodni wojny koreańskiej wykazało, że nie można wygrać nawet bardzo nowoczesnej wojny bez piechoty, dzielnej, ofiarnej, wytrzymałej piechoty. Toteż w Europie odbywa się obecnie gorączkowe poszukiwanie piechoty. Niestety najlepsza piechota europejska pozostała niemal w całości po tamtej stronie żelaznej kurtyny.

LEOPOLD USTĄPIŁ

Trwająca od pięciu lat tzw. sprawa królewska w Belgii została czasowo zakończona a może tylko odroczona przez kompromis korzystniejszy dla przeciwników niż zwolenników króla Leopolda w postaci przekazania władzy następcy tronu, księciu Baldwinowi, z tym, że gdy ks. Baldwin dojdzie do pełnoletności za niespełna dwa lata, król Leopold abdykuje na jego rzecz.

Przez pięć lat walka trwała na dwóch płaszczyznach. Zewnętrzną płaszczyzną była walka socjalistów przeciwko powrotowi króla, w którego obronie występowali katolicy. Umotywowaniem stanowiska socjalistów było zachowanie króla w czasie wojny, jego kapitulacja jako wodza naczelnego i rzekoma uległość wobec Niemców. W długiej i niezmiernie obfitej polemice zostało, obiektywnie mówiąc, wyjaśnione, że w postępowaniu króla nie było żadnych cech zdrady i że oddał on w tym czasie krajowi spore usługi. Nie te zarzuty podniecały też opinię publiczną w ostatnich latach, lecz fakt, że w kilka lat po śmierci żony, w czasie wojny, ożenił on się morganatycznie z panną Baels, córką znanego separatysty flamandzkiego, skazanego nawet na więzienie po pierwszej wojnie światowej za stanowisko „aktywistyczne" wobec Niemiec. Istotną bowiem i najważniejszą płaszczyzną sporu jest walka flamandzko-walońska.

W Belgii ludność dzieli się pod względem językowym na dwie, niemal równe liczebnie grupy: Walonów mówiących po francusku i Flamandów mówiących po holendersku. Przed stu laty Walonowie stanowili nie tylko połowę ogółu ludności ale i prawie całość warstwy wykształconej i zamożnej. Ich dziełem było oderwanie Belgii od Holandii w 1830 roku w zamiarze przyłączenia się do Francji. Zamiarowi temu stanęła na przeszkodzie Anglia i utworzono niepodległe królestwo pod berłem ukochanego wuja królowej Wiktorii Leopolda koburskiego. W drugiej połowie zeszłego stulecia nastąpiło, w dużej mierze pod wpływem duchowieństwa katolickiego, odrodzenie kulturalne Flamandów i stopniowe odfrancuzianie się mieszczaństwa flamandzkiego, sfrancuziałego kulturalnie w XVIII wieku. Jednakże aż niemal do pierwszej wojny światowej językiem urzędowym był francuski i każdy Flamand uczył się francuskiego w szkole powszechnej. W czasie owej wojny wśród Flamandów był bardzo silny ruch „aktywistyczny", podporządkowujący się Niemcom i wyraźnie separatystyczny. W okresie między wojnami przeprowadzono, przy ostrej walce, podział językowy kraju na dwie odrębne części i dwujęzyczną stolicę, podział idący tak daleko, że młodsze pokolenie Flamandów nie mających średniego wykształcenia, w ogóle nie zna francuskiego. Separacja ta jednak zabiła separatyzm i w czasie drugiej wojny światowej „kolaborantów" nie było więcej wśród Flamandów niż wśród Walonów. Obok „kolaborantów" działał wśród Flamandów dość silny ruch oporu, w którym najsilniejszym czynnikiem było przywiązanie do osoby króla Leopolda. Pod koniec okupacji niemieckiej wystawili oni nawet powstańczą „Białą Brygadę" (De witte Brigade).

Flamandowie, bardzo katoliccy i bardzo tradycjonalistyczni, mają silniejszy przyrost naturalny niż Walonowie. Gdy przed pół wiekiem byli oni mniejszością, dziś są większością w kraju, i odpowiednio do tego zaczynają się zachowywać. Walonowie poczuli się zagrożeni i gotowi są do kroków gwałtownych. Za powrotem króla Leopolda głosowało pięćdziesiąt kilka procent wyborców. Prawie ta sama większość w ostatnich wyborach dała swe głosy na partię chrześcijańsko-społecznych. Jest to właśnie owa nieznaczna większość flamandzka, gdyż ilość zwolenników króla wśród Walonów i jego przeciwników wśród Flamandów, niemal się równoważy i nie stanowi poważnego odsetka.

Na tym tle narosły potężne namiętności plemienne. Walonowie przegłosowani przez Flamandów w sprawie głowy państwa, są wzburzeni jak nieprzymierzając polscy narodowcy po wyborze w 1922 r. prezydenta głosami bloku mniejszości narodowych. Albo inaczej: wyobraźmy sobie, że Ziemia Czerwieńska stanowi osobne państwo i że jego władca ożenił się z córką przywódcy OUN. W czasie ostatnich rozruchów na stolicę maszerowały kolumny z Walonii. Największa namiętność ogarnęła Leodium, duże miasto walońskie wysunięte ku samej granicy językowej. Socjalistyczny dziennik „Le Poeple" pod wielkim zdjęciem rozruchów umieścił podpis: „Flamandzcy żandarmi kolbami biją robotników". Na innym miejscu w tymże piśmie znajdował się artykuł: „Chcieliście Krachtproef, to ją macie" (Krachtproef, to „próba sił" po flamandzku: podanie go w brzmieniu flamandzkim ma taki dźwięk uczuciowy w uszach Walona, jak odpowiednie słowo ukraińskie w uszach lwowiaka). „Wrogiem ludu" w propagandzie antyleopoldowskiej był nie premier Duvieusart, którego nazwisko brzmi z francuska, lecz minister spraw wewnętrznych Vleeschauwer.

Król miał do wyboru ugiąć się przed rozruchami lub wezwać na pomoc wiernych Flamandów. To drugie oznaczałoby wojnę domową. O wysokim poczuciu odpowiedzialności króla Leopolda za losy państwa dowodzi, że ustąpił, mimo iż miał za sobą niewątpliwe prawo. Z drugiej strony socjaliści odstąpili od pierwotnego żądania natychmiastowej abdykacji. Niewątpliwie i oni nie chcieli doprowadzać do rozpaczy Flamandów, ale przekonał ich i drugi czynnik. W ostatnich dniach kierownictwo rozruchów zaczęło im się wymykać z rąk. Przez granicę francuską przeszły zastępy komunistów. Mając lepszą technikę rewolucyjną i nie skrępowani żadną odpowiedzialnością za losy państwa, zaczęli oni komenderować ulicą. Po zawarciu kompromisu, żądali dalszej walki i trzeba ich było aresztować i odstawiać za granicę. Po drugiej stronie barykady gorętsi Flamandowie urządzili najazd na przywódców partii katolickiej, łamiąc meble i ciskając zgniłe jaja.

Wygląda, że na jakiś czas byt Belgii jest uratowany. Ale manewry uliczne w dobie zagrożenia trzecią wojną światową niemało ten kraj kosztowały i jeszcze mogą kosztować.

NIE MOŻNA PANOWAĆ BEZ PODDANYCH

Na marginesie wydarzeń belgijskich warto zauważyć jedno: z chwilą gdy osoba głowy państwa staje się przedmiotem dyskusji publicznej, sprawa jej jest już prawie beznadziejna. Nie można być królem części swego narodu, bo wtedy się nie jest królem w ogóle. Nawet większość bezwzględna w postaci 57 procent nie wystarcza i demonstracje mogą ją obalić. Głowa państwa musi mieć za sobą większość przygniatającą, jeśli nie wszystkich. A cóż dopiero mówić o takich głowach państwa, które nie mają nawet słabej większości, o których się przypuszcza, że mają za sobą tylko jedną grupkę zwolenników?

W poczuciu odpowiedzialności za państwo król belgijski zrzekł się władzy. By zachować prestiż przekazał ją nie kwestionowanemu przez nikogo następcy podając równocześnie krótki czasokres, po którym ustąpi całkowicie.

O ZEBRANIU STRONNICTWA NARODOWEGO

Zgromadzenie publiczne zwołane przez Stronnictwo Narodowe w Londynie dnia 13 ub.m. na temat „Polska a Niemcy" odbiło się szerokim echem w prasie polskiej na kontynencie i w Ameryce.

Poza sprawozdaniem, które ukazało się w londyńskim „Dzienniku Polskim", obszerne streszczenie przemówień i uchwalonej rezolucji zamieścił wydawany w Niemczech tygodnik „Polak", oraz szereg pism Polonii amerykańskiej z „Nowym Światem" (Nowy Jork), „Kuryerem Codziennym" (Boston) i „Dziennikiem dla Wszystkich" (Buffalo) na czele.

W artykule wstępnym „Dziennik dla Wszystkich" 22 ub.m. pisze: „W tych warunkach w całej pełni występuje słuszność pytania postawionego przez dra Bieleckiego w czasie zebrania w Londynie: Czy zawsze żeby odbić uderzenie jednego napastnika trzeba budować siłę drugiego, dziś ułatwiać i przygotowywać wojnę następną?".

WIKTOR TROŚCIANKO

PO SZEŚCIU LATACH

ROBIENIE bilansu politycznego stało się ostatnio modne. Jest to zazwyczaj krytyka dotychczasowych założeń politycznych wobec zjawiska komunizmu i Rosji Sowieckiej. W niektórych wypadkach jesteśmy świadkami nawet czegoś w rodzaju samokrytyki Zachodu. Można sobie oszczędzić satysfakcji wymieniania środowisk, rządów, przywódców politycznych. Nam, Polakom, których błędy Zachodu w ostatnim dziesięcioleciu pozbawiły niepodległego państwa, żadna „schadenfreude", żadna satysfakcja posiadanej słuszności nie może wystarczyć.

Polskie cele państwowe i narodowe pozostały poza dziwaczną nieco elipsą rozwoju politycznego demokracji zachodnich wobec komunizmu. Jesteśmy w tym samym punkcie, w którym znaleźliśmy się jedenaście lat temu w obliczu podwójnej agresji sowiecko-niemieckiej, z tą różnicą, że agresja niemiecka jak dotychczas i na razie jest fizycznie obezwładniona. Polacy nie muszą polityki swej zasadniczo przestawiać. Muszą ją mieć.

Do tego zaś konieczna jest świadomość posunięć wroga wobec nas — wobec państwa polskiego i jego narodu. Najgroźniejsze dla nas posunięcia i fakty dokonane dzieją się w kraju. Znajomość tych przemian, uchwycenie ich linii generalnej i wysnucie odpowiednich wniosków jest kwestią podstawową istnienia polityki polskiej. Bez znajomości kraju i zmagań, które tam się odbywają nawet najlepsza polityka zagraniczna wolnych Polaków będzie pozbawiona sensu. Trzeba stwierdzić, że wysiłek wroga, zmierzający do odcięcia polityki polskiej od znajomości położenia kraju nie przyniósł tych rezultatów, których bolszewicy oczekiwali. Dla odcięcia fizycznego i psychicznego nie szczędzono wysiłków olbrzymiego aparatu terroru, czy równie olbrzymiego aparatu propagandy. Naród polski pozostał jeden, jeśli nie liczyć garści zdrajców spełniających ślepo rozkazy Kremla.

Po sześciu z górą latach sowieckiego panowania w Polsce — oficjalnie od 22 lipca 1944 r. — warto zatrzymać się nad kierunkami uderzeń w organizm polski.

DWA KIERUNKI UDERZENIA

Plany sowieckie wobec Polski realizowane są po dwóch liniach, schodzących się w centralnym ośrodku kierowniczym polityki sowieckiej ze specjalnym zainteresowaniem Stalina dla tego wycinka ekspansji. Jedną z tych dróg — nazwijmy ją linią Związku Sowieckiego — jest walka z państwem polskim, polityką polską i sprawą polską jako częścią porządku europejskiego i światowego; drugim kierunkiem uderzenia, nazwijmy go krótko komunizmem, jest walka przeciw narodowi polskiemu, jako zjawisku historycznemu i społecznemu, stanowiącemu część wielkiej całości określonej (mniej lub więcej ściśle) cywilizacją chrześcijańską. Dwutorowość tej agresji stosowana od zarania rewolucji bolszewickiej, daje kierownictwu sowieckiemu ogromne korzyści taktyczne i mobilizuje siły fizyczne w postaci światowego ruchu komunistycznego, czy choćby jego mnogich ideologicznych przybudówek. Taktycznie dwutorowość ta umożliwia polityce sowieckiej zachowanie ciągłości w wykonywaniu planów nawet wtedy, gdy oficjalna polityka państwowa ZSRR głosi tezy wręcz przeciwne: komunizmu w jednym państwie, współżycia dwóch światów, czy trwałego pokoju. Ostatnio właśnie jesteśmy świadkami zjawiska odwrotnego: gwałtownych przygotowań sowieckich do wojny, a nawet częściowego wejścia na drogę działań zbrojnych (Korea) z jednoczesną propagandą komunistyczną na rzecz „pokoju". Trzeba przy tym zauważyć, że dopiero od niedawna — rok, lub najwyżej dwa lata — akcje takie nie robią wrażenia na polityce i postawie Zachodu. Przedtem takie demonstracje propagandowe, niestety, odnosiły skutek i stawały się wykładnikiem działania, prowadzącego do Jałty.

Polska doznała na sobie wszystkich metod działania sowieckiego. Jeśli przed wojną tzw. intelektualni komuniści, których nie brak było i w Polsce, mogli swe przekonania usprawiedliwiać wizją triumfującego proletariatu, to historia ostatniej wojny i wojennej polityki sowieckiej wobec narodu polskiego, nie wyłączając jego warstw robotniczych, była próbką tego, co miało spotkać Polskę pozostawioną w „strefie wpływów" ZSRR. Walka z Polską, prowadzona od 17 września 1939 r. nie ustała ani na jeden dzień. Nawet w okresie pozornej normalizacji stosunków polsko-sowieckich (druga połowa r. 1941-1943) zarówno biologiczna siła narodu polskiego, jak i trudna do utrzymania więź polskiego państwa podziemnego doznały olbrzymich strat wskutek akcji komunizmu czy dywersji ZSRR na terenach Polski. Partyzantka sowiecka na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej powołana była głównie do fizycznej eksterminacji Polaków, do „odpolaczenia" i zastraszenia miejscowego żywiołu polskiego przed następną fazą jawnej agresji państwa sowieckiego i jego terroru administracyjnego. Straty polskie wskutek tej akcji sowieckiej dywersji zbrojnej uszły uwadze oficjalnych statystyk, gdyż poszczególne zbrodnie szeptana propaganda komunistyczna tłumaczyła zwyczajnym bandytyzmem. A rzecz w tym, że nie byli to bandyci zwyczajni, tylko działający w planie politycznym Sowietów.

NISZCZENIE PAŃSTWA

Rozgraniczenie tych dwóch kierunków agresji sowieckiej na Polskę ma znaczenie nie tylko analityczne, lecz również praktyczne dla polityki polskiej. W obu tych zagadnieniach bowiem Polacy sami popełnili błędy. Na szczęście były to środowiska odosobnione, czy zgoła jednostki, tym niemniej były. Zawierano złe pakty z

Sowietami, nie zabezpieczając ich wykonania elementami siły międzynarodowej; w kraju podczas wojny istniały środowiska starające się wykorzystać państwo podziemne dla „przesunięcia politycznego na lewo", gdy niebezpieczeństwo Niemiec i Rosji powinno było angażować całą naszą uwagę. Nie oszczędzano ani sił politycznych ani biologicznych sił mas polskich, dla bezcelowej demonstracji; wreszcie znalazły się jednostki i grupy, które wzięły na serio niepodległość Polski w edycji Kremla i Związku Patriotów.

Agresja przeciw państwu polskiemu ze strony ZSRR miała na terenie kraju następujące momenty zwrotne:

1. Zbrojna napaść wojsk sowieckich na Polskę 17 września 1939 r. w porozumieniu i współdziałaniu z drugim najeźdźcą — Trzecią Rzeszą.

2. Tak zwany „plebiscyt" przeprowadzony przez wojsko sowieckie i aparat NKWD jako podstawa do oderwania ziem okupowanych od państwa polskiego i włączenia ich do ZSRR.

3. Stworzenie na terenie kraju pod okupacją niemiecką zbrojnej dywersji oraz dywersji politycznej w postaci „Armii Ludowej" i PPR mających na celu walkę z polskim systemem państwa podziemnego, nieraz we współdziałaniu z Niemcami; dalszą fazą tej polityki sowieckiej było powołanie na przełomie r. 1943/44 „Krajowej Rady Narodowej" oraz zalążka rad terenowych jako systemu przyszłego państwa organizowanego przez ZSRR.

4. Przemianowanie Związku Patriotów, założonego dla celów dywersyjnych w Moskwie, na Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego 22 lipca 1944 r.

5. Stworzenie z PKWN oraz Krajowej Rady Narodowej czyli z sowieckich formacji dywersyjnych „rządu jedności narodowej", obejmującego pod bagnetami armii czerwonej władzę w Polsce.

Wydarzenia ostatniego sześciolecia w tej dziedzinie — walki ZSRR z państwem polskim są już tylko logicznym następstwem tamtych posunięć. Ani rozprawa z PSL („referendum" i „wybory sejmowe"), ani likwidacja innych form szczątkowej opozycji nie jest wydarzeniem zwrotnym. Kto nie dostrzegł tych pięciu faktów poprzednich — nie zrozumiał w ogóle celów sowieckich w Polsce. Tego dopiero musiały pouczać takie szczegóły planu, jak sfałszowane wybory, nominacja Rokossowskiego na wodza naczelnego wojsk w Polsce, jak konsekwentna realizacja systemu rad narodowych, przeprowadzona na wiosnę roku bieżącego, czy wreszcie posunięcia reżimowej polityki zagranicznej będącej lokalnym referatem odpowiedniego resortu w Moskwie. Wszelka argumentacja propagandowa o postaci „łagodnej rewolucji", czy „demokracji ludowej" była obliczona na ubezwładnienie psychiczne i tak zmęczonego narodu oraz na zadowolenie kwietyzmu mocarstw zachodnich, którym wtedy wystarczał każdy argument choćby się składał z gołych frazesów.

Od początku walki z państwem polskim i zastępowania go tworem fałszywym, zjawiskiem pseudopaństwa, lub raczej sowiecką formą okupacji, od początku wykładnikiem każdego posunięcia jest interes ZSRR i projektowanego przezeń dalszego podboju politycznego Europy czy świata. Wszystko, co w dziedzinie funkcjonowania pseudopaństwa polskiego, czy zmodyfikowanego tworu okupacji sowieckiej, przybiera pozory suwerenności polskiej — jest pokrywką polityki Kremla.

W ciągu sześciu lat na terenie kraju faktycznie zniszczono wszystkie atrybuty suwerennego państwa: polską władzę ustawodawczą opartą na woli narodu, polską władzę wykonawczą, sądownictwo, polską politykę zagraniczną; siły zbrojne włączono w strategiczne plany Sowietów, to jest w plany wrogie narodowi polskiemu i jego nadziejom. Poza tym wszystkim Polska jest okupowana metodami klasycznymi: obecnością na jej terytorium wielkich jednostek sił zbrojnych ZSRR.

Gdyby prawo międzynarodowe było tym, co się pod jego pojęciem rozumiało choćby jeszcze w okresie dwudziestolecia między wojnymi — Polska w pojęciu tego prawa byłaby państwem okupowanym przez Związek Sowiecki. W wyniku procesu, którego przebieg jest zbyt dobrze znany, żeby trzeba go było streszczać — Polska w terminologii międzynarodowej nazywana jest „satelickim państwem Rosji".

Jednym z podstawowych zadań polityki polskiej jest odwrócenie pomieszania pojęć w tej dziedzinie. Zadanie to nie jest łatwe. W ciągu lat sześciu powyrastały nowe problemy polityczne, pogłębiły się pewne kompleksy, w których nie najmniejszym jest kompleks dający się określić „uneasy Poles", czy „troublesome Poles".

Jeśli nie chcemy, aby wyczyny agresywnej polityki sowieckiej realizowanej między innymi również za pomocą reżimu warszawskiego opinia światowa uporczywie zapisywała na konto Polaków, wysiłki w kierunku wyjaśnienia prawnej sytuacji Polski muszą zmobilizować cały nasz rozum polityczny i całą energię.

WALKA O NARÓD

Wysiłki sowieckie likwidacji państwa polskiego a z nim w przyszłości problemu polskiego w polityce światowej są równoległe z wcześniejszą akcją: walki komunizmu z narodem polskim. W tej części zadań bolszewizm nie przerwał roboty ani na jeden dzień, nie szczędził kosztów i pracy. Komunizm ma skutecznie podciąć naród, sparaliżować jego wolę, indywidualność, pozostawiając aparatowi sowieckiego państwa policyjnego resztę: przekształcenie narodu w masę społeczną reagującą mechanicznie na określone przez władze państwowe bodźce. Reagującą nieomylnie tak, jak tego władza oczekuje. Jest to tylko pozornie społeczność współczesna — w rzeczywistości ideał komunistyczny cofa rozwój form społecznych o kilkanaście stuleci wstecz.

Metodą okresu wstępnego — mamy przed oczami jej przebieg w społeczeństwach Zachodu — jest dywersja polityczna, rozkładanie pewnych ruchów politycznych, społecznych czy ideowych, opanowywanie masowych związków, mających na celu sprawy w istocie swej dalekie od klasycznej polityki.

Historia ostatnich sześciu lat na terenie Polski, to raczej dzieje walki komunizmu z narodem przy użyciu wszelkich technicznych narzędzi państwa. Komunizm rzucił się na organizm polski osłabiony wojną (a w niej także i atakami sowieckimi). Lato 1944 r. z jego tragicznym finałem powstania warszawskiego, wyczerpującego do reszty siły polskie, było poprzedzone pasmem lat terroru Gestapo i NKWD — milionowych strat z ręki jednego i drugiego wroga.

* * *

Mimo to do walki z Polakami nie wystarczył sam aparat policyjny, rozwinięty do granic znanych tylko w samej Rosji Sowieckiej. Do dalszego osłabienia Polski wprzęgnięto system gospodarczy, założono polityczne grupy dywersyjne, obstawiono każdą dziedzinę życia indywidualnego i zbiorowego siecią prowokatorów i donosicieli. W pierwszym okresie komunizm postawił — jak zwykle zresztą — na jednostki zdemoralizowane wojną, zastraszone, oportunistyczne. One stały się „śmietanką" rzekomej rewolucji. One organizowały ruch kulturalny, obsiadały naczelne stanowiska w administracji państwowej, gospodarczej, w spółdzielniach. Naród nasz w tym okresie, stając do odbudowy swego życia codziennego, borykał się nie tylko z brakiem środków materialnych, z dewastacją niemiecką i sowiecką, lecz również z plagą kanalii społecznej, wyniesionej do roli elementu „państwowotwórczego". Ustawodawstwo komunistyczne zdradzało przyszłe intencje reżimu. Manifest PKWN z 22 lipca 1944 r. zapowiadający reformę rolną był w rzeczywistości proklamacją dalszego pogłębienia kryzysu polskiej gospodarki rolnej, kryzysu wsi, karłowatości gospodarstw, ich nieopłacalności. Widać było od razu cel zasadniczy atakującego komunizmu: pauperyzacja, nędza społeczeństwa, życie z wyprzedaży ruchomości i ze stołówki fabrycznej czy biurowej, z nadziei na przydział. Do ponurych faktów, opowiadanych przez ludzi ocalałych z Rosji Sowieckiej należy następujący: w którymś kołchozie dostarczono koszul męskich; poprzednie spadały z grzbietu; baby, wracające z nowym skarbem w ręku głosiły dobroć Stalina, który nawet o najdalszym, zapadłym kołchozie pamięta i raz na rok pozwala na nabycie koszuli.

Taki jest mniej więcej cel i zadanie komunizmu również w Polsce. Tzw. rewolucja ludowa, „łagodna", wyrzuca na bruk wszystkie warstwy cokolwiek posiadające. W ciągu okresu sześciolecia proces ten osiągnął stadium bliskie dna. Zniszczono rol-

nictwo, rzemiosło, handel prywatny drobny przemysł. Terrorem Specjalnej Komisji zastraszono upartych, tysiące rzucono za druty „obozów pracy" — to jest obozów koncentracyjnych. Konfiskata, system podatkowy („dodatki do podatków", „domiary"), polityka dostaw towarów, wreszcie objęcie przez państwo bezpośrednio produkcji i wymiany podcięło tolerowaną uprzednio „inicjatywę prywatną". Na jednej z konferencji gospodarczych w 1949 r. Minc przyznał się, że koniec inicjatywy prywatnej zsynchronizowany jest z końcem obecnego planu sześcioletniego. Potem już tylko polityka „koszuli raz do roku i stołówki państwowej".

Dla podcięcia wsi, obok metod podatkowych powołano „Samopomoc Chłopską". Już z nazwy można było wywnioskować, że będzie to instytucja walki z chłopem, nie zaś pomocy. Polityka rozdziału produktów przemysłowych, nawozów sztucznych, skupu płodów rolnych i hodowli, świadczeń na rzecz „biedoty", podjudzania jednych na drugich, szykan codziennych i propagandy — ma zapewne w ciągu sześcioletniego planu gospodarczego Minca również i wieś polską doprowadzić do upaństwowienia w postaci kołchozów. Ideałem komunistycznym jest stan ZSRR, gdzie zarobek kołchoźnika wygląda w ten sposób: przez cały rok dostaje chleb i czasem ochłap mięsa; po roku oblicza się wszystkie zarobki, od których odejmuje się wydaną żywność jako „pobrane awansem"; w rezultacie okazuje się, że albo kołchoźnik pobrał wszystko, albo — jeśli urodzaj jest zły — pobrał za dużo i musi pod rygorami nadwyżkę zwrócić. Taki jest ideał bytowania chłopa. Walkę na tym odcinku w Polsce po sześciu latach okupacji sowieckiej charakteryzuje obecny proces zaganiania wsi do kołchozu. Stosunki w polskich „spółdzielniach produkcyjnych", nie są jeszcze takie jak w Sowietach, bo mają one przez pewien czas spełniać rolę propagandową.

* * *

W stosunku do robotnika wprowadza się zasadę rabunkowej eksploatacji siły roboczej, system zbyt dużych norm, politykę najniższych płac od tych wysokich norm i wizję nieznacznego podwyższenia zarobku przez podwojenie wysiłku. Już sama polityka płac, bez tzw. „wyścigu socjalistycznego pracy" jest zabójcza dla robotnika, bo osłabia jego siły fizyczne w tempie przyśpieszonym. Do tego jednak wymyślono w „państwie proletariatu" system stachanowski z kilkoma jego odmianami — wyścigu indywidualnego i grupowego, jednorazowego i stałego. Gdyby i to nie podcięło indywidualności narodowej robotnika — ma jeszcze do wykonania dodatkowe „spontaniczne" prace z okazji niekończących się świąt komunistycznych, ma obowiązkowe masówki i manifestacje, szkolenia ideologiczne, protesty i przymus dobrowolnych składek na rozmaite cele światowego komunizmu. To, co komunizm pozostawia po związkach zawodowych, jest właśnie ich odwrotnością: zadaniem obecnych związków zawodowych w Polsce jest terroryzowanie robotnika w duchu dyscypliny komunistycznej, kontrola jego gorliwości w pracy i jego lojalności. Nic dziwnego, że organizatorem komunistycznych związków zawodowych w Polsce był ten sam człowiek, który organizował powojenne obozy koncentracyjne, zwane obozami pracy przymusowej.

* * *

Do najgroźniejszych przejawów niszczenia polskiego życia narodowego i przestawiania go na wzór sowiecki zaliczyć trzeba to wszystko, co reżim sowiecki w Polsce przeprowadza w stosunku do młodzieży. Arsenał broni komunistycznej jest w tej dziedzinie olbrzymi, tu zwłaszcza stosuje się całe doświadczenie trzydziestolecia komunizmu. Po młodzież sięga ten system od najwcześniejszego okresu — od dzieciństwa, przyzwyczajając do pieśni, skandowania haseł, i najpierw niezrozumiałych ale powszechnie powtarzanych formuł z dziedziny katechizmu marksistowskiego. Dziecko ma się z tym osłuchać, przyzwyczaić, uważać to za normalne. Ma z pogardą odnosić się do wszystkich nie wyłączając własnych rodziców, którzy haseł takich nie lubią, nie powtarzają ich, zabraniają mówienia w domu. Od tego już jeden krok do jednania najmłodszych denuncjatorów. Potem przychodzi szkoła z zalewem propagandy, ze Stalinem od tabliczki mnożenia do początków historii Polski. Ma również dziecko osłuchiwać się z rusyfikacją. Ma śpiewać nie tylko tłumaczenia sowieckich pieśni, ma je śpiewać również w oryginale. Widok ten w Polsce jest najbardziej żałosny, tak jak był podczas pierwszej okupacji sowieckiej, kiedy to dziecko wracało z przedszkola śpiewając „tri tankista, tri wiesioły druha, ekipaż maszyny bajewoj". W programie sowieckim wobec młodzieży leży przede wszystkim odcięcie jej od starszego pokolenia „przedrewolucyjnego", wyeliminowanie wpływu rodziców, podcięcie moralności chrześcijańskiej, zwanej moralnością burżuazyjną.

I to chyba, wciąż patrząc z perspektywy sześciu ostatnich lat, jest najbardziej zagrożona pozycja w Polsce: dzieci. Nawet w wątpliwym wypadku stosunkowo szybkich i korzystnych rozstrzygnięć w konflikcie z komunizmem, będziemy mieli przynajmniej na okres jednego pokolenia problem trudny i masowy.

Mniej niebezpieczne są natomiast, choć nikt i tego nie może lekceważyć, wysiłki bolszewickie stotalizowania młodzieży starszej, skupianej w komunistycznej organizacji ZMP czy w paramilitarnej i obliczonej na przygotowanie rezerw mobilizacyjnych organizacji „Służba Polsce". Na tę młodzież mają jeszcze wpływ starsi koledzy, którzy istotę komunizmu i jego niebezpieczeństwo poznali w okresie wojny.

* * *

W walce z narodem komunizm przede wszystkim stara się zniszczyć fizycznie lub wyeliminować wszelkie autorytety. Do najgroźniejszych dla swych planów zaliczył już dawno religię, a zwłaszcza religię chrześcijańską, w niej zaś katolicyzm z jego doskonałym porządkiem moralnym i nienaruszoną hierarchią.

Obserwacja stosunków w Polsce od 1945 r. pozwala odtworzyć taktykę sowiecką wobec Kościoła Katolickiego na naszych ziemiach. Kościół ma być zmuszony do ustawicznej defensywy, obrony poszczególnych instytucji swej organizacji i jej spoistości. Dlatego został zerwany konkordat i dlatego tak późno nastąpiła konfiskata dóbr kościelnych („martwej ręki"). Każdy wpływ na postawę ideologiczną społeczeństwa jest traktowany jako akt wrogi wobec państwa. Jak bardzo tego wpływu obawiają się komuniści świadczą wypadki lubelskie, ściągające wbrew zarządzeniom dziesiątki tysięcy wiernych pielgrzymujących z nadzieją ujrzenia cudu. Lublin i województwo były wtedy faktycznie w stanie oblężenia. Patrole spotykało się w mieście co kilkadziesiąt kroków, drogi obstawiono posterunkami na stanowiskach „bojowych" z ciężkimi karabinami maszynowymi. Bezpośrednio potem nastąpiła seria brutalnych wystąpień władz reżimowych przeciwko Kościołowi: dziesiątki pokazowych procesów o „szpiegostwo", lub czyny niemoralne: po tej kampanii przyszło uderzenie w „Caritas", a wreszcie koncentryczny atak na episkopat w celu „normalizacji" stosunków między Kościołem i państwem. Echem tej fazy jest ostatnie zmuszenie hierarchii kościelnej do podpisywania tzw. apelu sztokholmskiego, będącego niczym innym jak wystąpieniem polityki zagranicznej ZSRR, mającym określone zadania w obecnym stadium kryzysu światowego.

Dywersja sowiecka stara się również spenetrować samą organizację kościelną; oparto się przy tym na elemencie złamanym latami niemiec-

kich obozów koncentracyjnych, wciągając do współpracy z reżimem księży zrzeszonych w „Związku Bojowników o Wolność i Demokrację".

Wszystko to ma spowodować zaangażowanie się Kościoła w obronie jego pozycji ze szkodą dla formowania postawy duchowej narodu. Walka na tym odcinku miała szczególne nasilenie na przełomie roku ubiegłego i obecnego. Dodatkowym czynnikiem dywersyjnym reżimu jest nieliczna, lecz hałaśliwa i mająca monopol działania politycznego grupka reżimowych katolików, dająca przystań wszelkim elementom oportunistycznym, zastraszonym, „pogodzonym z państwem". Grupa ta penetruje księży i stara się wmówić społeczeństwu, że jest jedynym wyrazem polskiego interesu narodowego, jedyną w ogóle polityką polską. Niestety, nie można powiedzieć, żeby dywersja ta pozostała zupełnie bez rezultatu.

* * *

Autorytet kultury polskiej: nauki, twórczości artystycznej, jest podważany od początku obecnej okupacji. Okres pierwszy, fałszywego patriotyzmu i fałszywego pojednania z narodem, był wykorzystany na obsadzenie punktów żywotnych dla kultury polskiej elementem wychowanym przez komunizm, lub przynajmniej najmniej odpornym psychicznie na nową rzeczywistość. Ponieważ zaś dwudziestolecie między wojnami było przez komunizm w Polsce specjalnie wykorzystywane do mobilizacji własnej warstwy kulturalnej, władza sowiecka w Polsce miała w 1944 r. do dyspozycji wcale znaczny personel do obsadzenia najważniejszych stanowisk. Mimo wszystko na tym odcinku sprawa dla bolszewików nie przedstawia się zadowalająco. Dopóki żyje pokolenie rzeczywistych twórców polskiej kultury narodowej, póty mechanizm ukazów i propagandy wszystkiego nie załatwi. Żadne reformy studiów, katedry marksistowskie na uniwersytetach, nie zastąpią prawdziwej wiedzy i talentu. Najgorsze jest zjawisko pasywne: niemożności rozwoju w ciągu tych sześciu lat kultury polskiej, zwłaszcza humanistycznej, jej tragicznej dalszej bezczynności w wielu dziedzinach po równie tragicznym milczeniu lub działaniu w podziemiach czasu ostatniej wojny.

* * *

Wymienione tu przykładowo płaszczyzny szczególnego zagrożenia naszego życia narodowego w kraju wystarczą, żeby stwierdzić olbrzymie niebezpieczeństwo. Jest to dla nas dramatyczny wyścig z czasem. Sił narodu oczywiście nie można sprowadzać do zasobów jednego pokolenia i stąd bodaj możemy czerpać jedyną pociechę. Pamiętać jednak należy, że komunizm jest zjawiskiem nie mającym historycznych procedensów, dlatego analogie historyczne trwania i przetrwania w zagrożeniu przez stulecia — nie wydają się być trafne.

Walka obecna może być decydująca dla naszego bytu narodowego tak jak my go rozumiemy. Stąd płynąć muszą wszystkie wnioski pochodne, z których najważniejszy jest ten, który narzuca na czynną politykę polską poza granicami kraju naprawdę odpowiedzialność w skali stuleci. Obawiać się trzeba, że odpowiedzialność ta nie jest należycie zrozumiana. Tylko tak bowiem należy pojmować procesy obniżające naszą zdolność politycznego działania, niepoważne zabiegi dokoła uchwycenia i utrzymania cieniów władzy.

Musimy zrozumieć, że **problem walki narodu polskiego z komunizmem, jest jednocześnie problemem naszego odrodzenia narodowego,** którego konieczność już po sześciu latach obecnej okupacji, po jedenastu latach podboju będzie zadaniem naczelnym nawet po odpłynięciu wód czerwonego potopu.

Do tych zadań polityka polska musi bardzo starannie kultywować wszystkie wartości, które są podstawą odrodzenia narodowego.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI **LISTY O LUDZIACH 8)**

TRZY KOSZMARY

Bibliopolis, sierpień 50

Drogi Czytelniku,

Nie wiem czy, a jeżeli tak, to w jakich okolicznościach czytałeś po raz pierwszy „Nowy wspaniały świat" Huxleya. Ja czytałem go przed bez mała dwudziestu laty w Polsce nad morzem w wesołym towarzystwie młodzieży o zacięciu społecznym. Zaśmiewaliśmy się z tego. Uznałem to za genialną satyrę na naszą epokę a raczej na możliwości, jakie ona w sobie kryje. Wiele powiedzeń autora weszło w repertuar naszych rozmów. Uznanie dla genialności Huxleya zmalało we mnie znacznie, gdy w wiele lat później poznałem współczesną Anglię. Nie Anglię Galsworthy'ego, jaką znała z literatury inteligencja polska, ale prawdziwą, żywą, nudną Anglię z połowy dwudziestego wieku. Czytając wtedy po raz drugi „The New Brave World" wykrywałem w nim pod pozorami proroczej satyry zwykłą karykaturę Brytanii, poznawałem popularne hasła reklamowe, fragmenty „Nursery Rhymes", postawę peoplu, obraz rozrywek i życia współczesnego przeciętnego Anglika, jego niepojęte dla przedwojennego Polaka zmechanizowanie wewnętrzne, wielość i sztywność podziałów społecznych, trening w niemyśleniu o rzeczach przykrych, a zwłaszcza o rzeczach ostatecznych. Z perspektywy angielskiej pomysły wychowywania dzieci w sposób łagodnie okrutny i możliwość życia ściśle materialistycznego nie wydały mi się już tak oryginalne ani tak pełne wyobraźni. Zrozumiałem, że taki uprzejmy, taki „kazualny" a podszyty kamienną obojętnością stosunek człowieka do człowieka jest możliwy.

Podobne rozczarowanie przeżyłem w tym samym czasie i do innej książki angielskiej a mianowicie do „Sagi rodu Forsytów". Czytając ją przed laty w Polsce byłem przeświadczony, że Galsworthy po mistrzowsku operuje dyskrecją i niedomówieniem. Jego bohaterowie najgłębsze i najgwałtowniejsze uczucia wyrażają kilku prostymi słowami. Sceny o największym napięciu wyrażają się dyskretnym stonowanym obrazem, który pozwala czytelnikowi przeżyć we własnym wnętrzu wszystko, co nie zostało powiedziane, a co musiało zostać odczute i przeżyte. Kiedy przeczytałem „Sagę" w Anglii, czar prysł. Zrozumiałem, że autor powiedział wszystko i niczego nie trzeba się domyślać. Jego postacie tylko to właśnie czują, myślą i mówią, co jest wydrukowane. Poza tym po prostu nie myślą nic i nic nie mają do powiedzenia. Jak w tej starej dogmatyce: „Dlaczego zwierzęta nie mówią? — Bo nie mają nic do powiedzenia".

Rozczarowanie w stosunku do Huxleya nie zmieniło mego zdania, że „Nowy wspaniały świat" jest wielką książką. Stracił on tylko w moich oczach na uniwersalności. Przedstawienie świata jako jednego państwa, zabawne kombinacje imion i nazwisk międzynarodowych, są pokrywką. Pod nią żyje współczesna Anglia doprowadzona do ostatecznych konsekwencji. Może zresztą nie sama Anglia ale cały świat anglosaski: nie znam społeczeństwa amerykańskiego na tyle, by ocenić, czy i do niego to pasuje, choć z tego co wiem wydaje mi się, że raczej niezupełnie, że wbrew drapaczom chmur i kultowi Forda, „The New Brave World" przedstawia typ życia angielskiego.

Huxley jest zupełnie anglosaski, mimo swych międzynarodowych poglądów. George Orwell, mimo swej miłości dla ludu angielskiego był zeuropeizowany. Pracował we Francji, walczył w Hiszpanii, ożenił się z Rosjanką. Orwell miał dużą jak na znanego pisarza odwagę powtórzenia pomysłu Huxleya, pokazania satyry przyszłego świata. „1984", ostatnia książka zmarłego w tym roku pisarza angielskiego, i w pomyśle i w niektórych założeniach zawdzięcza bardzo wiele „The New Brave World". Ale te podobieństwa tym bardziej uwypuklają różnice.

Historia Huxleya odbywa się w bliżej nieokreślonej przyszłości, historia Orwella jest umieszczona w czasie ściśle. Żyją w niej jeszcze staruszkowie z naszego pokolenia a bohater ma na imię Winston, jako że urodził

się w roku 1945. Przypuszczam, że wielu Anglikom książka Orwella wydawać się musi satyrą proroczą i uniwersalną, jak mnie wydawała się książka Huxleya zanim poznałem Anglię. Gdyby ci czytelnicy Orwella poznali Rosję, rozczarowaliby się zapewne w tym samym stopniu jak ja rozczarowałem się do Huxleya poznawszy Anglię. „1984“ jest obrazem Rosji Sowieckiej umieszczonej w Londynie w następnym pokoleniu, przerysowanej nawet nie w tym stopniu w jakim Anglia przerysowana jest w powieści Huxleya. I tu jednak system i typ życia sowieckiego doprowadzony jest do ostatecznych konsekwencji.

I teraz najciekawszy problem: jak wygląda człowiek w każdej z tych utopii. Człowiek huxleyowski jest naukowo spreparowany, jest sztucznie wylęgany, seryjnie produkowany, przeznaczony do określonej ściśle przyszłości, „kondycjonowany“, wychowany pod nieodpartą sugestią „hypnopedii“, nie wiedzący o istnieniu niczego poza materią, o bardzo ograniczonym rozumie i prawie bez wolnej woli. Jest to człowiek bezduszny ale nie nieszczęśliwy. Nieszczęśliwy w tym społeczeństwie jest tylko człowiek wychowany poza nim lub niezupełnie dobrze kondycjonowany w inkubatorze. Reszta żyje życiem uspołecznionego owada i nie wie, że jest nieszczęśliwa. Tyrania nowego wspaniałego świata jest okrutna w treści ale łagodna w formie. Jest naukowo ustabilizowana, niemal dobrotliwa. Cała koncepcja ma sens tylko w oparciu o założenie, że człowieka można tak przygotować w sztucznej wylęgarni i sierocińcu z hypnopedią, że nie będzie szukał niczego poza bezpieczeństwem i względnym dobrobytem. Teza ta jest wątpliwa. Taką rzecz mógł sobie wyobrazić przed ćwierćwieczem człowiek wychowany w atmosferze dziewiętnastowiecznego scjentyzmu. Orwell, o Orwell nie ma już takich złudzeń. Poznawał życie nie w laboratorium i bibliotece ale w zaułkach przedmieść europejskich, w dżungli birmańskiej i w hiszpańskich górach. Mógł z perspektywy przeszło trzydziestolecia spojrzeć na dorobek „wielkiego eksperymentu socjalistycznego“ w Sowietach. Zna on człowieka wszelkich warstw społecznych i ras a zwłaszcza człowieka prostego. Zna naturę ludzką. Wie, że można stworzyć trwałą i totalną tyranię w oparciu o doktrynę materialistyczną, ale że człowiek w niej musi być bardzo nieszczęśliwy, że się będzie buntował i będzie stale w znacznym procencie tępiony.

Tyrania Orwella nie jest dobrotliwa ani łagodna w formie, jest jak najbardziej okrutna i brutalna. Masę, pogardliwie zwaną „prolami“ utrzymuje na najniższym poziomie kulturalnym i nie troszczy się o nią, wytraca pewną jej część w stałych niepotrzebnych wojnach. Cały swój wysiłek kieruje na utrzymanie Partii, organizacji najpotworniejszego terroru wewnętrznego.

Ideałem społeczeństwa huxleyowskiego były stabilizacja i dobrobyt. Społeczeństwa orwellowskiego nie opromienia nawet postęp techniczny ani materialny. Jest to społeczeństwo głodne i prymitywne. Siłą moralną, ideałem tego ustroju jest nienawiść. Nienawiść jako cel sam w sobie, jako wartość bezwzględna, jako podstawa stosunku człowieka do człowieka, jako najwyższy walor etyczny. W koszmarnym opisie śledztwa chwilami nie wiadomo już czy sędzia, który poświęcił uwagę kilku lat na podsądnego i traktuje go jako swoją, z całego serca, niemal metafizycznie znienawidzoną, ale swoją rzecz, nie nienawidzi go w jakiś sposób miłosny. Z drugiej strony oskarżony, torturowany do granic szaleństwa i nie mogący na chwilę oderwać myśli od swego oprawcy, nienawidzi go w sposób tak pełen czci i oddania, z takim fatalizmem i pełnią uczucia, że ma to pozory miłości. Toteż nie dziwi nas w końcu, gdy nienawiść całego życia do dyktatora nagle zmienia się w miłość w duszy człowieka, który marzy tylko o jednym, żeby go już uznali za godnego zabicia.

Pod jednym względem państwo Orwella różni się od Sowietów. Dla ludu wydaje ono pornograficzną i tandetną bibułę. Polityka kulturalna Sowietów jest w istocie swej arystokratyczna. Nie ogląda się ona zupełnie na żądania odbiorcy lecz narzuca mu literaturę uznaną przez siebie za klasyczną. W ten mechaniczny sposób rozwiązuje ona problem, z którym liberalne społeczeństwo nie umiało sobie dać rady, a na które musi być znaleziony w wolnym świecie mniej mechaniczny sposób.

Pisana między dwiema wojnami światowymi książka Huxleya jest jeszcze w pewnym sensie optymistyczna. Wierzy w postęp materialny, w pokój światowy pod jednym rządem, w dostosowanie pragnień ludzkich do systemu życia. Pisana po drugiej wojnie światowej książka Orwella pozbawiona jest wszelkich złudzeń. Świat materialistyczny nie oznacza nawet bezpieczeństwa i dobrobytu, oznacza stałą wojnę, niedostatek, strach. Obaj robią coś w rodzaju syntezy współczesnych prądów, obaj twierdzą, że rezultat pozornie jak najbardziej przeciwnych kierunków naszej epoki będzie ten sam. U Huxleya materializm amerykański, bolszewizm, faszyzm, kemalizm zlewają się w jedną tradycję nowego świata. U Orwella trzy nadpaństwa w świecie wyznają identyczne zasady; jedno z nich nazywa je neobolszewizmem, drugie angielskim socjalizmem a trzecie wschodnio-azjatyckim kultem śmierci.

Reakcję przeciwko systemowi reprezentuje u Huxleya człowiek wychowany wśród dzikich. Jego wiara opiera się na fragmentach poezji Shakespeare'a, guseł indyjskich i niezrozumiałego symbolu Krzyża. Oczywiście takie podstawy są za słabe i buntownik kończy samobójstwem. U Orwella buntownik zostaje wyeksploatowany w pełni przez policyjną prowokację i załamuje się całkowicie. I on nie ma żadnych pozytywnych podstaw dla swego buntu, jest tylko dość myślący by zorientować się, że wszystko opiera się w jego świecie na kłamstwie. Nie wie nic o przeszłości, oczywiście nie wierzy w Boga. Na granicy obłędu, przed ostateczną kapitulacją pisze nagle z wewnętrznej potrzeby „Bóg jest mocą“. Autor nie wyjaśnia nigdzie bliżej skąd się to wzięło i jakie ma następstwa.

O nastrojach naszej epoki wymownie świadczy, że koszmar Orwella nie jest całkiem odosobniony. Ma on nie tylko poprzedników w, z jednej strony „Nowym wspaniałym świecie“, a z drugiej „Darkness at Noon“ Koestlera. Ma także następcę, a może rówieśnika, w Niemczech. Jest nim „Nein“, książka W. Jensa. Koszmar jensowski, pisany bez związku z powieścią Orwella, przedstawia dzieje ostatniego myślącego swobodnie człowieka w świecie tyranii materialistycznej w zasadniczych zarysach podobnej bardzo do orwellowskiej. Człowiek ów, profesor, którego kolegów już wszystkich zlikwidowano, jest obserwowany latami przez samego Wielkiego Sędziego, który wzywa go wreszcie i stawia mu do wyboru albo śmierć albo następstwo po sobie. Świat dzieli się tu na trzy klasy, podobnie jak u Orwella, ale nie są to klasy „proli“, partii zewnętrznej i partii wewnętrznej, lecz klasy oskarżonych, świadków i sędziów. W powieści tej jesteśmy także świadkami śmierci ostatniego byłego księdza.

Wizja tego, co nam grozi, nie schodzi z umysłów ludzi obdarzonych wyobraźnią. Jest to wizja o stu obliczach tej samej istoty. Wątpliwości z tej strony już nie ma. Wsteczna, degradująca tyrania materialistycznego totalizmu. Huxley przed dwudziestu laty jeszcze mógł na równi stawiać niebezpieczeństwo amerykanizmu i bolszewizmu. Socjalista międzynarodowy Orwell przed dwoma laty już nie mógł. Jego utopia przybrała oblicze bolszewii. Może kiedyś, w lepszej przyszłości, będziemy się znów martwić niebezpieczeństwem materializmu amerykańskiego. Dziś nie z tej strony tyrania nam grozi. I dlatego wydają mi się zabawni ci europejscy doktrynerzy, którzy w poszukiwaniu symetrii dla własnego myślenia i „high brow“ obiektywizmu usiłują postawić te dwie rzeczy: amerykanizm i bolszewizm niejako na jednej płaszczyźnie. Orwell, który znał życie, nie miał takich symetrycznych poglądów. Ktoś, komu się dom pali, nie powinien martwić się dla symetrii w równym stopniu zniszczeniem mebli przez wodę z sikawek.

Pisałem Ci, że świat Huxleya jest wizją Anglii a świat Orwella wizją Rosji ale to nie wszystko. Chciałbym Ci zwrócić uwagę, że są to także wizje wnętrza samych autorów. Huxley walczy ze swoim scjentyzmem przez wyrzucenie go na zewnątrz w postaci konsekwentnego koszmaru. Do czego bym doszedł gdybym myślał dalej w tym samym kierunku, do czego by doszedł świat gdybyśmy tak dalej myśleli — mówi jego książka. Równocześnie szuka, co by przeciwstawić

swoim dawnym poglądom tworzącym „nowy wspaniały świat“ i niewiele znajduje. Coś z wolności, z ryzyka, z miłości rodzicielskiej, z literatury klasycznej. Słabiutkie to przeciwstawienie. Przyznanie do bankructwa zachodnio-europejskiej myśli lewicowej, do jej bezradności wobec materialistycznego totalizmu. Po wyrzuceniu z siebie Nowego Wspaniałego Świata Huxley wszedł w nową epokę duchową. Zaczął szukać. Odkrył mistycyzm. Jest dziś mistykiem agnostycznym, studiuje zarówno jogów indyjskich jak św. Jana od Krzyża. Do czego dojdzie?

Podobny charakter ma i książka Orwella. W jego potwornym świecie panuje Ingsoc czyli „angielski socjalizm“. Orwell wyrzuca z siebie swój marksizm jak Huxley wyrzucił scjentyzm. Oto — zdaje się mówić — do czego bym doszedł, gdybym dalej tak myślał, do stworzenia jakiego świata przykładałbym rękę. Jego przeciwstawienie pozytywne koszmarowi jest jeszcze mniej określone niż u Huxleya. Chyba tylko to jedno wyrwane z dna duszy torturowanego Winstona Smitha „God is stregth“. To może być okrzyk śmiertelnie chorego w chwili pisania książki Orwella.

A czy w problemie powieści Jensa nie ma tego samego rzutowania wewnętrznego zagadnienia na sytuację bohatera? Czy wybrać śmierć czy stać się filarem nieludzkiego i nienawistnego ustroju? Czy ja, Niemiec, mam zginąć jako pierwsza ofiara nowej wojny sowieckiej czy przyjąć rolę głównej podpory agresji? Jeżeli pójdę z bolszewikami do jakiego świata doprowadzę? Czy uda się utrzymać w roli świadka-donosiciela, czy trzeba wybierać między oskarżonym a sędzią?

Sprecyzowanie koszmaru bywa formą samoobrony. Nie tylko dlatego, że ostrzega o niebezpieczeństwie, mobilizując wyobraźnię czytelników. Także dlatego, że uświadamia ludziom myślącym, z autorem na czele, co w ich myśleniu było błędem i niebezpieczeństwem. Co więcej zmusza do szukania przeciwstawienia jak najbardziej zasadniczego. Zmusza samego autora, ale zmusza i myślącego czytelnika. Rola tego ostatniego jest większa w tym zakresie bodaj od roli autora. Ten dał druzgocącą wizję konsekwencji błędów myślenia własnego i swoich współczesnych, a więc musiał tkwić w tym błędnym myśleniu głęboko i sam wysiłek dojrzenia tego wyczerpał go. Czytelnik młodszy, od razu ostrzeżony obrazem koszmaru, ma jeszcze czas i możliwości myśleć dalej, myśleć pozytywnie nad tym, co jest najskuteczniejszym przeciwstawieniem niebezpieczeństwu. Na tym polega kulturalna rola takich satyrycznych utopii. Wszyscy trzej wspomniani autorzy pokazują nam świat materialistyczny, internacjonalistyczny, antyhumanistyczny.

Spróbuj myśleć dalej jeżeli możesz, ja już jestem zmęczony pisaniem.

WOJNA O POKÓJ

(Korespondencja własna)

Paryż, w sierpniu

W CIĄGU pięciu lat polityka sowiecka złożyła nieskończoną ilość dowodów, że ani ustalony podział świata jej nie odpowiada, ani w pokojowe współżycie z „kapitalistycznym otoczeniem“ nie wierzy, ani — wreszcie — dynamizmu rewolucji komunistycznej nie tylko zahamować nie zamierza ale przeciwnie pogłębiać go musi.

W miarę jak mnożyły się dowody agresywnej polityki Moskwy, świat zachodni ze Stanami Zjednoczonymi na czele, przystosowywał się do tej rzeczywistości. Od entuzjazmu Roosevelta dla demokratycznej ewolucji Rosji, przez zrozumienie dla wymogów bezpieczeństwa Związku Sowieckiego i jego socjalistycznej odbudowy, wyrażające się w całkowitym wyrzeczeniu się połowy Europy i zapewnieniu Rosji olbrzymiego „no man‘s landu“ w Azji, Amerykanie zmuszeni zostali do przeciwstawienia się brutalnym próbom rewolucjonizowania reszty świata. Plan Marshalla podtrzymał chwiejące się gospodarstwa państw zachodnio-europejskich, a pakt atlantycki zmierza do stworzenia sztywnej linii oporu w Europie. Są to wszystko akty obronne, akty których jedynym celem jest wykazanie Moskwie, że szanując i uznając podział świata na sowiecki i niesowiecki, Ameryka trwa przy decyzji pokojowego ułożenia współżycia z Sowietami. Nigdy i nigdzie Amerykanie nie interweniowali czynnie w granicach wpływów sowieckich i najlojalniej wykonywali układy teherańskie i jałtańskie. Byli, więcej — są nadal gotowi układy te dotrzymywać pod warunkiem, że robić to będzie i druga strona.

Dla ratowania UNO, instytucji, w ramach której spodziewali się stabilizacji pokoju światowego, sabotowanego coraz brutalniej przez politykę sowiecką, zainkasowali biernie kilkanaście weto Moskwy i godzili się z gwałceniem zasady większości demokratycznej w pobieraniu decyzji.

Coraz bardziej zaniepokojeni, zatamowali agresję komunistyczną w Grecji, odparli w Persji, utrzymali Berlin i w ogóle bronili się tu i tam, jako tako, zawsze w nadziei przekonania Rosji, że ułożenie stosunków w granicach wyznaczonych jest nie tylko możliwe ale leżące w interesie stron obu.

Kiedy jednak, dzięki olbrzymiemu wysiłkowi finansowemu i organizacyjnemu, ustalono pokój zbrojny w Europie i na Bliskim Wschodzie (Europa zachodnia, Grecja, Turcja, Persja) zaczęła się rewolucja w Azji. Padły Chiny a dywersja sowiecka w Birmie, Indonezji, Indochinach, Filipinach, przygotowywany atak na Formozę i Tybet, aktywność komunizmu w Indiach, otworzyły groźne perspektywy, wobec których Amerykanie, tak już przecie gdzie indziej zaangażowani, stanęli właściwie bezradni. I amerykańskie środki nie starczą — na dłuższą metę — na bronienie tak olbrzymich przestrzeni. Przestrzenie te są przecie zamieszkane przez setki milionów ludzi a ich stosunek do Moskwy i Waszyngtonu odgrywa tu pierwszorzędną rolę. Trzeba zrozumieć, że w Azji, największym i najludniejszym kontynencie ziemi, wprowadzenie zarówno demokracji jak sowietyzmu wymaga rewolucji. Otóż rewolucja demokratyczna się nie udaje, natomiast bolszewicka czyni olbrzymie postępy.

Amerykanie zakładali istnienie w Azji czynników zdolnych do wypracowania własnych form życia zbiorowego, opartych na zasadach indywidualnej wartości i dorobku. Zakładali prężność interesów, w obronie których zmobilizują się siły dostateczne do przeciwstawienia inwazji komunistycznej.

Dlatego, zapewne, z iście kwakierskim dogmatyzmem, dobrali się zaraz w 1945 r. do kolonialnego porządku na Dalekim Wschodzie i — kończąc dzieło zaczęte przez Japończyków — wyparli Europejczyków z całego obszaru. Acheson w swej mowie w Dallas na kilka dni przed wojną w Korei tłumaczył naiwnie niepowodzenia amerykańskie w Azji trudnościami znalezienia konstruktywnych stron nacjonalizmu azjatyckiego, jak gdyby dawno już nie połapał się w tym nacjonalizmie Kreml. Znalazł go w negacji europejskiego panowania, w buncie przeciw głodowi i nędzy mas i przeciw feudalnemu przepychowi jednostek, w nieudolności i nieuczciwości klik, które w powojennym zamieszaniu do władzy się dorwały lub ją utrzymać zdołały. Rewolucja demokratyczna, reprezentowana przez takich ludzi jak Cziang-Kai-Sziek, Quirino i Ri, nie miała żadnych szans. Należy się obawiać, że nie ma ona szans również i w Indochinach i Birmie i gdzie indziej i to z tych samych powodów.

Polityce angielskiej udało się zostawić po sobie nie tylko w wewnętrznym ale i międzynarodowym zagrożeniu orientujące się rządy w Indiach, Pakistanie i Cejlonie. Gorzej już rzecz wypadła w Indonezji, gdzie pupil USA, Soekarno dąży do zerwania wszelkich związków z byłym suwerenem holenderskim ale niczym woli zastąpienia ich konstruktywną współpracą z antysowieckimi czynnikami w swoim rejonie nie zaznacza. Rząd filipiński jest zbutwiałym próchnem w stopniu niemniejszym niż był reżim Cziang-Kai-Szieka w Chinach i tylko oddalenie od kontynentu ocaliło go od próby, której by nie przetrwał. Trudno powiedzieć, by Bao-Dai osadzony był solidnie w Indochinach, lub by stosunki w Birmie były ustabilizowane. Partyzantka na Malajach jest zastraszająco silna, a Syjam żyje zastrzykami imperialnych miraży, serwowanych mu przez chaotyczne stosunki w całych Indiach zagangesowych. Dlatego bankructwo reżimu

Sing-man Ri, wykazane od pierwszego dnia wojny, ma tak groźną wymowę.

Okazało się, że nie ma, lub tak dobrze jak nie ma, Azjatów gotowych bronić lub tym więcej realizować rewolucję demokratyczną! Okazało się równocześnie, że są — i to bardzo liczni — Azjaci gotowi bronić i realizować rewolucję komunistyczną!

Byłoby przesadą twierdzić, że rzecz ma się odwrotnie w Europie. Zwłaszcza w tzw. Europie zachodniej, czyli wolnej. W każdym jednak razie stosunek jest tu niemal odwrotnie proporcjonalny.

Znajomość tej rzeczywistości jak też teoria o „przypływach i odpływach fali rewolucyjnej" skłoniła Moskwę do wyzwania Amerykanów na azjatyckim właśnie terenie. Ma on to do siebie, że pozwala i pozwoli na czas nieokreślony zabijać „American boys" przez niezliczone mrowia Mongołów, nie naruszając ani sił ani „interwencji" sowieckiej. Moskwa liczy wyraźnie na to, że zanim Amerykanie zdecydują się na zniszczenie centrum sowieckiej produkcji i decyzji, wykrwawi ich tak potężnie, że nie będą do tego zdolni. Nie będą z dwu powodów: po pierwsze sami Rosjanie będą wkrótce zdolni do podobnego uderzenia, a po drugie amerykańskie zaufanie we własne siły na skutek beznadziejnych i bezowocnych interwencji znakomicie osłabnie. Korea, maksymalnie od USA oddalona a maksymalnie masy ludzkiej stojącej do sowieckiej dyspozycji bliska, podzielona i bezwładna, jest idealnym terenem, na którym bez wywoływania przedwczesnego konfliktu światowego można USA zewnętrznie kompromitować i wewnętrznie osłabiać. Obliczenie sowieckie ostrożne i bezbłędne jest logicznym wyciągnięciem wniosków z przekonania, iż bez zastosowania nadzwyczajnych środków kryzys ekonomiczny w Stanach Zjednoczonych nie nastąpi a bez niego likwidacja świata antystalinowskiego jest trudna.

Dotychczasowa polityka amerykańska została przyparta do muru. Droga odwrotu jest dla niej praktycznie zamknięta. Decyzja Trumana bronienia Korei jest pierwszą dopiero w szeregu coraz dramatyczniejszych, które staną przed Stanami Zjednoczonymi na drodze do wywalczenia trwałego pokoju.

Pokój bowiem w skali światowej nie jest wartością, którą współczesna ludzkość bez nadludzkiego wysiłku zdobyć może.

Z. A.

MICHAŁ PORADOWSKI

INDOAMERYKANIZM

(Korespondencja własna)

Santiago de Chile, w sierpniu

PANAMERYKANIZMOWI i iberoamerykanizmowi (zob. artykuł „Panamerykanizm i hispanidad", „Myśl Polska", 1 lipca br.) przeciwstawia się indoamerykanizm. Jest to prąd najmłodszy, najświeższy. Pojawił się w pierwszych latach po pierwszej wojnie światowej. Program jego streszcza się w haśle „Ameryka dla Amerykanów!" — przy czym chodzi tutaj, oczywiście, tylko o Amerykę Południową. Ma on swoje strony negatywną i pozytywną.

Strona negatywna indoamerykanizmu streszcza się w postawie reakcyjnej przeciwko panamerykanizmowi i iberoamerykanizmowi. Indoamerykanizm przeciwstawia się panamerykanizmowi, gdyż upatruje w nim niebezpieczeństwo podporządkowania rozwoju kultury Ameryki Południowej wpływom kultury Ameryki Północnej. Ale jeszcze zdecydowaniej indoamerykanizm zwalcza iberoamerykanizm (hispanidad), twierdząc, iż jakikolwiek wpływ cywilizacyjny Europy wykoślawia swobodny i pełny rozwój rodzimej kultury Ameryki Południowej.

Strona pozytywna indoamerykanizmu wyraża się w programie rozwoju rodzimej cywilizacji, pojętym przede wszystkim jako pełna emancypacja Ameryki Południowej. Zwolennicy indoamerykanizmu mówią: dość już mamy epoki Europy, wpływów jej tradycji i kultury, które nam są obce; podporządkowywania naszych krajów interesom narodów żyjących w innych częściach świata; żądamy pełnej wolności, swobodnego i niczym — żadnymi tradycjami, zasadami, ideałami europejskimi — nieskrępowanego rozwoju własnej kultury.

W indoamerykanizmie wyraźnie zaznaczają się dwa stanowiska: umiarkowane i krańcowe. Stanowisko umiarkowane jest dążeniem do swobodnego rozwoju rodzimej cywilizacji, jednakże bez zrywania z tym wszystkim co kiedyś Europa przyniosła do Ameryki Południowej, a co stanowi po prostu ogólnoludzki dorobek kulturalny. Jest to raczej szlachetne (lecz naiwnie doktrynerskie) pragnienie tworzenia nowej cywilizacji, w oparciu o stare tradycje europejskie, ale w atmosferze pełnej niezależności społecznej, gospodarczej, politycznej i kulturalnej od innych części świata, a w szczególności Stanów Zjednoczonych i od Europy (Hiszpanii). Tak pojęty indoamerykanizm nie ma właściwie w sobie nic „indiańskiego" poza nazwą, przez którą tylko chce podkreślić, iż — podobnie jak panamerykanizm i iberoamerykanizm — jest także kierunkiem jednoczącym kontynent amerykański, ale na odrębnych zasadach, tj. z wykluczeniem wpływów zarówno Ameryki Północnej jak też i Europy. Jest to więc jakby spóźniona doktryna Monroe, zastosowana do Ameryki Południowej.

Indoamerykanizm umiarkowany nie ma wielu zwolenników, gdyż umysły bardziej oświecone doskonale zdają sobie sprawę z tego, że jakikolwiek rozwój cywilizacyjny ludów Ameryki Południowej nie może się odbywać z pożytkiem dla nich w warunkach jakiejś izolacji od innych krajów, a zwłaszcza od Europy, jako kolebki cywilizacji, jak też i od Stanów Zjednoczonych, które dzisiaj przodują w tak wielu dziedzinach i z którymi współpraca i współżycie są absolutnie niezbędne dla normalnego rozwoju kulturalnego młodych narodów południowo-amerykańskich. Stąd też kierunek ten nie posiada dzisiaj żadnego praktycznego znaczenia.

Natomiast zasługuje na szczególniejszą uwagę dość silny — zwłaszcza w Peru, Ekwadorze i Boliwii — ruch skrajnego indoamerykanizmu. Głosi on hasło rozwoju rodzimej, własnej cywilizacji południowo-amerykańskiej w oparciu wyłącznie o stare tradycje indiańskie, a przy całkowitym odrzuceniu wpływów cywilizacji europejskiej, czy to dawnych, narosłych w ciągu stuleci, czy to dzisiejszych. Jest to prąd nie tyle kulturalny co polityczny, gdyż wybija przede wszystkim hasło zjednoczenia państwowego całej Ameryki Południowej, tj. konieczność utworzenia jednego organizmu państwowego, w którym granice dawnych państw stałyby się tylko granicami administracyjnymi. Ze szczególną nienawiścią odnosi się on do Europy i do tego wszystkiego co ma jakikolwiek związek z jak najszerzej pojętą cywilizacją europejską, a więc z prawem rzymskim i kulturą klasyczną, a przede wszystkim z chrześcijaństwem. W wydawnictwach tego ruchu, przeznaczonych głównie dla ciemnych mas ludności tubylczej oraz dla zdezorientowanych półanalfabetów, przedstawia się Europejczyków jako tradycyjnych wyzyskiwaczy ludów Ameryki Południowej.

Inspiratorzy tego ruchu doskonale wiedzą co robią. Pragną oni „oczyścić" Amerykę Południową z wszelkiego wpływu cywilizacji europejskiej, czyli zniszczyć dorobek cywilizacji ludów iberoamerykańskich z takim trudem osiągnięty w ciągu czterech stuleci. Sieją w tym celu nienawiść rasową i klasową, nawołują do buntów, do mordów, rzezi i terroru. Wpajają nienawiść do tego wszystkiego co pochodzi z Europy, a przede wszystkim do wszystkich wartości chrześcijańskich. Wyszydzają religię, ośmieszają kult chrześcijański. Przesadnie przedstawiają „rozkład" Europy dzisiejszej, rozpisują się o „zgniłym zachodzie europejskim". Atakują też Stany Zjednoczone jako kraj kapitalistów-wyzyskiwaczy, którzy pragną podbić w niewolę gospodarczą cały świat. Wyszydzają kulturę hiszpańską jako zacofaną, „średniowieczną", wsteczną. Dają natomiast niewiarogodny rozgłos rzekomej wspaniale rozwiniętej cywilizacji indiańskiej przed przybyciem Europejczyków, a zniszczonej przez barbarzyństwo konkwistadorów. Głoszą konieczność nawrócenia do tej starej cywilizacji i do jej zasad przy budowaniu nowej cywilizacji indoamerykańskiej.

Nie trzeba chyba dodawać, że cały ten program, hasła, zasady i doktryna indoamerykanizmu zostały opracowane... na Kremlu (poinformujemy o tym dokładniej pisząc o komu-

nizmie w Ameryce Południowej). Dlatego też trzeba stwierdzić, że indoamerykanizm to program kulturalno-polityczny komunizmu dla Ameryki Południowej. Stąd też nic dziwnego, że indoamerykanizm stanowi pierwszy punkt programu Apry (Alianza Popular Revolucionaria Americana — sekcja Kominternu dla Ameryki Południowej). Zdaje się, iż poza ugrupowaniami komunistycznymi indoamerykanizm nie posiada żadnych zwolenników.

Kto troska się o przyszłość cywilizacyjną świata musi z dużym niepokojem spoglądać na rozwój indoamerykanizmu, jako na jeden z przejawów ogólnej dziś na całym świecie reakcji barbarzyństwa. Sprawa jest poważna i w imię dobra przyszłości cywilizacji życzyć sobie należy, aby ludzie widząc grozę niebezpieczeństwa uczynili wszystko, iżby indoamerykanizm, ta nowa petarda bolszewizmu zbrodniczo podłożona pod Amerykę Południową, okazał się niewypałem.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Z POGRANICZA DWÓCH ŚWIATÓW

Izabela Kuźmińska: ŚWIATŁO JUTRA. Powieść. Londyn, 1950. Biblioteka powieści. Skład główny „Veritas". Stron 222. Cena 12 sh.

Bardzo dziwna powieść. Właściwie pisana źle, nierówno, rozwlekle, bez opanowania rzemiosła pisarskiego, bardzo po kobiecemu. A jednak nie grafomania. Duże natężenie uczuciowe, żarliwość moralna, umiejętność odtworzenia nastrojów środowiska, humanizm pozwalający współczująco ale nie upiększająco ukazywać duszę ludzką nieraz w kilkunastu zdaniach.

Tematem są wspomnienia polskiego Żyda, wychowanego w ghetto przez rodziców bardzo biednych ale w sensie ortodoksyjnym żydowskim kulturalnych, żyjących Torą i Talmudem. Egzotyzm tego środowiska tak bliskiego życiem codziennym a tak odległego życiem duchowym od polskiego otoczenia, oddany został w sposób uderzający. Robi wrażenie, jakby istotnie pisał to ktoś całkowicie tkwiący w tym środowisku, dla kogo jest ono naturalną atmosferą. Niepodobne to jest zupełnie swoim tonem do opisów życia ortodoksów żydowskich, podawanych przez literatów z poza tego środowiska, nawet pochodzących z rodzin żydowskich. Pewne partie czyta się niemal tak, jak fragmenty pisarzy hinduskich o życiu ich krajów rodzinnych. Postaci są przeważnie sympatyczne, prawe, dzielne, ale zupełnie egzotyczne w sposobie wyrażania swoich uczuć i myśli.

Głównym wątkiem powieści jest miłość młodego Żyda do katoliczki, jego przejście na chrześcijaństwo bez wiary, dojrzewanie pod wpływem przeżyć, zwłaszcza w czasie okupacji niemieckiej w ostatniej wojnie, przeświadczenia, że Nowy Testament jest wypełnieniem Starego. To ostatnie zresztą przeprowadzone jest dość słabo i jakby na marginesie. Całość kończy się w pierwszym roku okupacji sowieckiej. Zamyka ją wywód o konieczności zbliżenia i współżycia Polaków i Żydów na gruncie moralności religijnej. Strona „tezowa" jest w książce najsłabsza. Rozmowy na tematy osobiste niekiedy świetne we fragmentach. Rysunek postaci niejednolity. Oświetlenie kontrastowe: wzniosłość lub drobna praktyczność, niemal bez przejść.

Książka, choć literacko słaba, jest bardzo interesująca przez to, że w nowy sposób oświetla wiele zagadnień psychicznych, starając się zachować jak największą szczerość a jednocześnie unikać wszelkich akcentów negatywnych.

BROSZURY KATOLICKIE

Wydawnictwo Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii. Nr 9. Dr Julian Chróściechowski. MAŁŻEŃSTWO. Stron 8. Cena 2 d. Nr 10. PRZODOWNIK W AKCJI KATOLICKIEJ. Stron 8. Cena 2 d. Nr 11. RODZINA. Stron 8. Cena 2 d. Nr 13. DZIECI. Stron 8. Cena 2 d. Nr 15. SPOWIADAM SIĘ... Stron 31. Cena 3 d.

Biblioteczka polska: M. Dubanowiczowa. KRÓLOWA JADWIGA. Londyn, 1950. Stron 16. Ilustrowane. Cena 6 d. M. Dubanowiczowa. WIELKI HETMAN. Londyn, 1950. Stron 16. Ilustrowane. Cena 6 d.

Przeważnie nie zdajemy sobie sprawy w Londynie, że masa polska w Wielkiej Brytanii czyta daleko mniej książek, o których głośno w pismach polskich a daleko więcej takich, o których krytycy londyńscy w ogóle nie wiedzą. Do tych przede wszystkim należą groszowe wydawnictwa Akcji Katolickiej, rozchodzące się w dużych nakładach. Poza instrukcjami powielanymi są one dwóch rodzajów. Jeden, to małe broszurki typu czysto religijnego, głownie oparte na encyklikach papieskich; wydano ich dotąd 15, z tego 6 w roku 1950. Trzy z nich posiadają szczególne znaczenie społeczne, a mianowicie broszurki poświęcone rodzinie, małżeństwu i dzieciom. Kto miał sposobność bliższego zetknięcia się z porozrzucanymi środowiskami polskimi w świecie, zdaje sobie sprawę, jak kapitalne znaczenie mają te sprawy dla życia narodowego i dla zdrowia psychicznego naszych rodaków.

Drugi rodzaj broszur, zapoczątkowany przez Instytut Akcji w roku bieżącym, to broszurki popularyzujące wiedzę o Polsce. Wydawać by się mogło, że takie małe proste opowiadania nie nadają się dla naszej „sofisticated" żołnierskiej emigracji. Tak mógłby sądzić ten, kto nie zetknął się z „dobrowolnymi robotnikami europejskimi", czyli tzw. dipisami a zwłaszcza młodszym ich pokoleniem, tym, które było dziećmi w chwili wybuchu wojny, wychowało się na robotach przymusowych albo w obozie koncentracyjnym, po polsku prawie nie czyta, a o historii i geografii Polski nie ma pojęcia. Obie dotąd wydane broszurki p. Dubanowiczowej mają charakter poważnych ale bardzo popularnych opowiadań. Dotyczą dwóch epok i dwóch postaci ważnych nie tylko w historii Polski ale i w dziejach Kościoła, tj. królowej Jadwigi i hetmana Żółkiewskiego. Czytelnik nie tylko zobaczy podobizny postaci, miejscowości i zapozna się z barwnymi życiorysami ale nabierze też pojęcia o dziejach ojczyzny w określonej epoce. Broszurki te mogą się przydać w przyszłości nawet i w kraju, gdzie obecnie tępiona jest wszelka literatura wykazująca związek dziejów Polski z katolicyzmem.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

ODRA I NISA GRANICĄ ZACHODNIĄ

Walne zebranie Klubu Polskich Ziem Zachodnich uchwaliło następującą rezolucję w sprawie granicy Odra — Nisa.

„W związku z uznaniem przez rząd wschodnio-niemiecki w układzie z 6. 6. 1950 r. Odry i Nisy Łużyckiej za ostateczną granicę z Polską, jesteśmy świadkami szeroko zakrojonej akcji propagandowej na terenie zachodnich Niemiec przeciwko pozostawieniu przy Polsce Ziem Odzyskanych. Z przykrością musimy stwierdzić, że również i w społeczeństwach zachodnich odezwały się głosy popierające roszczenia rewizjonistyczne Niemiec w stosunku do ziem, które na mocy postanowień konferencji poczdamskiej i późniejszych wykonawczych zarządzeń Komisji Kontrolnej, dotyczących wysiedlenia z tych obszarów ludności niemieckiej, zostały de facto przyznane Polsce.

Walne zebranie Klubu Polskich Ziem Zachodnich powołuje się na wyraźne i zdecydowane stanowisko jakie Klub Polskich Ziem Zachodnich zajął w sprawie granicy na Odrze i Nisie w uprzednich swoich deklaracjach. Walne zebranie stwierdza raz jeszcze, że cały naród polski w kraju i zagranicą stoi jednomyślnie na stanowisku, że granica ta jest słuszna i nienaruszalna.

Przez zagospodarowanie zniszczonych na skutek działań wojennych i rabunkowej gospodarki sowieckiej Ziem Odzyskanych, przez zaludnienie ich ludnością polską, przez włączenie ich do polskiego organizmu gospodarczego i komunikacyjnego, społeczeństwo polskie dało wyraz swej

niezłomnej woli utrwalenia przynależności tych ziem do Polski, w pełnym zrozumieniu, że posiadanie tych obszarów jest istotnym warunkiem przyszłego rozwoju państwa. W posiadaniu Polski ziemie te służyć będą również połączonym interesom narodów Europy środkowo-wschodniej.

Przejawiające się w pewnych środowiskach na Zachodzie tendencje do pozyskania Niemiec kosztem żywotnych interesów Polski są nie tylko złudne w samym swoim założeniu lecz przede wszystkim są szkodliwe dla przyszłego połączenia narodów europejskich na zasadzie pokojowej współpracy.

Podsycanie rewizjonizmu niemieckiego podrywa u ujarzmionych przez Sowiety narodów Europy środkowowschodniej zaufanie do demokracji zachodnich ze szkodą dla wspólnej sprawy".

ZJAZD INWALIDÓW

29 i 30 ub.m. odbył się w Londynie walny zjazd delegatów Związku Inwalidów Wojennych PSZ. W zjeździe wzięli udział delegaci z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Libanu i Południowej Afryki.

Wybrano nowe władze w składzie: prezes K. Stafiej, członkowie E. Długoszewski, M. Hakemer, B. Jagiełłowicz, T. Jełowicki, Z. Kotkowski, D. Maciejko, A. Misiak, J. Narożański, H. Szmidowa, C. Tarnowski, L. Teleśnicki.

Zjazd chcąc rozładować szkodliwe dla interesów ogółu inwalidów trwające od roku rozbicie organizacyjne (konkurencyjny Komitet Inwalidzki zainicjowany przez pp. Langa i Wołyńskiego) uchwalił następujący wniosek:

1. Walny zjazd delegatów Związku Inwalidów Wojennych PSZ nie mogąc zgodzić się na ponoszenie odpowiedzialności moralnej i materialnej przez Związek Inwalidów Wojennych PSZ za sposoby i skutki prac Komitetu Inwalidzkiego PSZ, odrzuca wniosek zarządu głównego Związku Inwalidów Wojennych PSZ o połączenie.

2. Wzywa inwalidów z Komitetu do wstępowania w szeregi prawowitego i rzetelnie reprezentującego interesy inwalidów Związku Inwalidów Wojennych PSZ, a tym samym daje im możność korzystania z dorobku Związku Inwalidów Wojennych PSZ i jego opieki.

Obradujący w tym samym czasie zjazd Komitetu, wbrew temu stanowisku Związku, postanowił przekształcić się w „Stowarzyszenie Inwalidów". Usiłowania likwidacji istniejącego rozbicia nie dały więc i tym razem wyniku.

ZE ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO

Na odbytym ostatnio zebraniu Rady Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego w Wielkiej Brytanii dokonano wyboru nowych władz.

W skład prezydium Rady weszli pp.: A. Treszka (SPK) przewodniczący, M. Harusewicz (Stow. Techników) i M. Michalski (Zw. Rzemieślników i Robotników) wiceprezesi, W. Krzakowski (SPK) sekretarz.

Rada wysłuchała ponadto sprawozdania zarządu Zjednoczenia oraz przyjęła plan budżetowy.

NOWY DOM TPP

Towarzystwo Pomocy Polakom otworzyło w Nottingham nowy Dom Polski. W Domu znajdują się świetlica, biblioteka, biura miejscowych organizacji społecznych, restauracja, bar; część Domu przeznaczono na mieszkania.

Dom oparty jest na zasadach klubu, do którego przyjmowani są Polacy oraz Anglicy należący do Towarzystwa Anglo-Polskiego.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

AGENCI I AGENTURY

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Myśli Polskiej" z dnia 1 sierpnia br. ukazał się artykuł pt. „Błędne i szkodliwe poglądy" pióra red. W. Wasiutyńskiego. Zgadzając się całkowicie z zasadniczą wytyczną jego głębokich rozważań, chcę wnieść zastrzeżenia odnośnie do uwagi, wypowiedzianej przez autora na pewien temat poboczny. Chodzi mi o następujące zdania:

„Katolicy reżimowi są... grupą manewrową komunistów. Nie chcemy przez to bynajmniej powiedzieć, że są agentami komunistycznymi, udającymi katolików. To wywiady wojskowe posługują się agentami, wielkie ruchy polityczne posługują się często grupami manewrowymi..." (str. 9, 1 — 2 szpalta od góry).

Czytelnik mógłby z powyższego wysnuć błędny wniosek, że komunizm nie posługuje się agentami. Naprawdę jest wręcz przeciwnie, a komunizm jest partią, której sieć zasadniczą i decydującą stanowią właśnie agenci, czyli osoby, działające nie z przekonania, albo nie tylko z przekonania, lecz w taki sposób osobiście uzależnione, że wola władzy partyjnej jest dla nich bezwzględnym przymusem. Jedynie człowiek załamany wewnętrznie i pozbawiony osobowości jest przez partię uważany za zupełnie swego i pewnego, na którym można oprzeć dyscyplinę partyjną. Dzięki takiej zasadzie organizacyjnej — która wypływa zresztą konsekwentnie z materializmu, ignorującego stronę moralną życia — komunizm poza obszarem swego panowania obdarza zaufaniem jedynie ruchy kierowane przez swoich agentów, a wewnątrz zasięgu swojej władzy jedynie takim organizacjom zezwala na istnienie.

Szczególną kategorię agentów stanowią w systemie sowieckim więźniowie, zwolnieni pod warunkiem (danym na piśmie) bezwzględnego posłuszeństwa rozkazom politycznej policji, która ich dla określonych celów z murów więziennych wypuściła. Jeśli działacz polityczny, którego tożsamość jest władzom sowieckim znana znajdzie się w ich rękach, to — poza wyjątkowymi wypadkami, w których państwo sowieckie działa pod przymusem międzynarodowym — jedyne wyjście na wolność fizyczną prowadzi dlań poprzez kapitulację duchową i utratę wolności wewnętrznej. I jeśli po opuszczeniu więzienia NKWD, dawny taki działacz rozpocznie akcję polityczną w zasięgu władzy sowieckiej, będzie to bez wątpienia działalność agenturalna.

Wszystko niestety przemawia za tym, że taki jest właśnie wypadek p. Bolesława Piaseckiego tzw. przywódcy „reżimowych katolików". Dywersja prowadzona przez tę grupę na terenie katolicyzmu polskiego, podważając jego zwarty front i siejąc od wewnątrz zamęt pojęć, toruje zarazem drogę sowietyzacji i — wbrew propagandzie na ich rzecz rozwijanej — przyśpiesza właśnie proces prześladowań. W rzczywistości bowiem jednolita postawa religijna społeczeństwa jest jedynym czynnikiem mogącym opóźniać napór komunistyczny na religię.

Z wyrazami głębokiego poważania

ZDZISŁAW STAHL

SIEDMIU PANÓW

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr 156 z 1 lipca 1950 „Myśli Polskiej" znalazłem dłuższą wzmiankę o „wyroku" sądu koleżeńskiego Koła Generałów i Dców Wielkich Jednostek (zdaje mi się, że taka jest prawidłowa nazwa tej organizacji) na gen. Bora-Komorowskiego.

Wiadomość ta wywołała we mnie podobne wrażenie, jakie odczuwałem słuchając opowiadań o najróżniejszych sądach odprawianych pod koniec niewoli w oflagach (słynne obcięcie palców rękawiczki w Murnau

itp.). Przypomina mi to również najróżniejsze sprawy rozstrzygane w „służbowym duchu“ w kołach zdziecinniałych staruszków b. oficerów carskich — dziś jeszcze — po przeszło 30 latach znajdowania się na emigracji.

W związku z tym proszę Redakcję o odpowiedzenie mi na łamach pisma na następujące pytanie:

1) Jakie są nazwiska tych siedmiu panów, którzy podjęli się rozpatrywać „sprawę“ gen. Bora-Komorowskiego i którzy podpisali tak absurdalny wyrok.

Przy okazji pragnę nadmienić, iż jedyne nazwisko polskie z okresu wojny minionej, które jest mniej więcej znane przeciętnemu Amerykaninowi (niepolskiego pochodzenia) — to nazwisko gen. Bora-Komorowskiego. Sprawdziłem to w niezliczonej ilości rozmów począwszy od robotników u Forda a skończywszy na kołach uniwersyteckich.

Oczekując odpowiedzi łączę itd.

OLGIERD SZCZENIOWSKI
Detroit, USA.

* * *

Nazwiska, o które Pan pyta: gen. gen. Dembiński, Januszajtis, Piskor, Podhorski, Sulik, Tokarzewski, płk Worobej.

Redakcja

OŚWIADCZENIE STRONNICTWA PRACY

Szanowny Panie Redaktorze,

Na posiedzeniu odbytym 15 lipca 1950 r. w Londynie Komitet Zagraniczny Stronnictwa Pracy powziął i postanowił ogłosić następującą uchwałę:

Komitet Zagraniczny Stronnictwa Pracy zakłada stanowczy protest przeciw działalności kilku jednostek w Ameryce, które pogwałciwszy już dawno najbardziej fundamentalne zasady programu Stronnictwa Pracy usiłują obecnie zorganizować grupę ludzi celem dopomagania Mikołajczykowi. Ani wyrzekanie się połowy Polski ani deptanie konstytucji nie może być dokonywane pod firmą Stronnictwa Pracy. Komitet Zagraniczny wzywa wszystkich członków Stronnictwa Pracy, by mieli się na baczności i nie dali się wprowadzić w błąd odezwami samozwańczego „Polskiego Narodowego Komitetu Demokratycznego“ w Ameryce.

S. SOPICKI Sekretarz — **Dr B. KUŚNIERZ** Prezes

LIST Z KANADY

Otrzymaliśmy list z Kanady, nawiązujący do drukowanego u nas wiersza naszego kolegi redakcyjnego p. W. Trościanki („Anemony z Chelsea“). List drukujemy, Czytelniczce zasyłamy serdeczne pozdrowienia,

Redakcja

Szanowny Panie Redaktorze,

Gdzieś w maju jeszcze wpadł mi w ręce numer „Myśli Polskiej“ i w przelocie mignęło nazwisko pana, więc, ryzykując zagaśnięcie pieca, zatrzymałam się i przeczytałam „Anemony z Chelsea“, a później, pilnując małej Joanny, by się nie odkryła, leżąc w wózeczku na dworze, przyszła mi na myśl odpowiedź na Pana wiersz i choć to nieudolne, niemniej posyłam Panu, bo może Pana zainteresuje reakcja czytelniczki „znad garnków i prania“.

Pisałeś, Panie Wiktorze,
O włoskiej kwietnej wiośnie,
Londyńskich anemonach,
W słońce patrzących radośnie.

I ja znam wiosną Anconę
I łąk angielskich żonkile,
Które na chmurnej Wyspie
Słodziły czekania chwile.

Zawsze też miło wspominam
W ogrodach „evergreen‘y“.
W Pitsford w bocznej alejce
Pachniały Polską jaśminy.

Bzy kiście zwieszały w gąszczu
Biało i fioletowie,
Jak w maju bywać zwykło
Tam u nas w Klemensowie...

Dziś kanadyjską wiosnę
Poznaję ze zmartwieniem,
Bo maj wciąż śniegiem sypie,
Północnym mrozi tchnieniem.

Nagie gałęzie krzewów
I szara preria cała.
Jaskółka kwiatów sasanka
Patrzy na śnieg oniemiała.

W pamięci inne maje
Fiołkami się kwiecą,
Żabami rechoczą w stawie,
Pękami kaczeńca złocą.

Wśród księżycowej ciszy
Słowika śpiew zapłacze...
I myśl wciąż zapytuje —
Czy polski maj zobaczę?

Proszę wybaczyć pomyłki, ale już czas obiad gotować malutkiej i maszynę oddać właścicielowi i po prostu spieszę się nieludzko. Takie nasze życie tutaj, bo roboty dużo więcej niż można zmieścić w zwykłej dobie.

A. M. CZARTORYSKA

OD WYDAWNICTWA

Następny numer „Myśli Polskiej“ ukaże się, po dwutygodniowej przerwie wakacyjnej, w dniu 15 września. Terminy opłaconych prenumerat zostają tym samym przesunięte o dwa tygodnie.

DO PRENUMERATORÓW W BELGII

Abonenci, którzy dotychczas opłacali prenumeratę „Myśli Polskiej“ za pośrednictwem księgarni „La Colonne“ winni od 1 sierpnia br. wpłacać prenumeratę naszemu nowemu przedstawicielowi p. Maciejowi Cybulskiemu, hôtel de Boeck‘s, 40, rue Veydt, Bruxelles, konto czekowe CCP 2889.86.

„MYŚL POLSKA“
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.